

Trzeba nas wziąć w kamasze



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Rozumiem awersję ministra Siemoniaka do słowa „pobór”. Ale jeśli mówi, że system rezerw osobowych jest wystarczający, że mamy odpowiednią liczbę żołnierzy, jest to kuriozalne.

Czy polska armia jest w stanie bronić kraju? Po kryzysie krymskim pytanie to wraca ze zwiokrotnioną mocą. Pojawiły się głosy o potrzebie przyspieszenia zbrojeń i powrotu do poboru. Jednak szef MON Tomasz Siemoniak uspokaja, mówiąc, że jesteśmy bezpieczni, a powszechna służba wojskowa to anachronizm. W drugiej sprawie podobnie wypowiedział się zresztą także Jarosław Kaczyński.

Czy rzeczywiście? Mamy oficjalnie 100 tys. żołnierzy, ale tylko 20 do 30 tys. w batalionach bojowych. Rosja zaś od lat konsekwentnie inwestuje w swoją gotowość wojenną. Działa też tak, by móc szybko uzupełniać jednostki rezerwistami. W Kaliningradzie jest tylko 15 tys. żołnierzy, ale aż osiemset czołgów i ponad tysiąc transporterów. Gdyby u nas nagle wydano rozkaz mobilizacji i przerwania sprzętu, to w niektórych jednostkach o niższym poziomie gotowości nie byłoby nawet komu tego sprzętu wyprowadzić, a połowa pojazdów by się po drodze zepsuła i nie miałyby kto ich naprawić.

Warto przy tym dodać, że wydajemy całkiem spore sumy na obronność. Tyle, ile Finlandia, którą stać na wystawienie 250 tys. dobrze wyszkolonych żołnierzy.

Minister Siemoniak nie ma więc racji, mówiąc, że jesteśmy bezpieczni. Zupełnie zaś mija się z prawdą, gdy twierdzi, że resort zrobił wszystko, by załatać dziury w naszych zasobach.

Powszechny pobór został zawieszony w 2009 r. Była to realizacja wyborczej obietnicy Platformy Obywatelskiej. Oprócz chęci zadowolenia młodego elektoratu stała za tym także pewna ocena polityczna. Ówczesny minister obrony Bogdan Klich mówił, że Polsce wojna nie grozi i że głównym zadaniem naszej armii jest walka z terroryzmem.

Zadaniem dla naszych sił nie miała więc być klasyczna wojna, w której państwo staje przeciwko państwu, ale patrole i zagraniczne misje. W czerwcu 2009 r. powstała „Strategia obronności Rzeczypospolitej Polskiej” – dokument koncep-

cyjny, który określał przyszły kształt polskiego wojska w oparciu o typowo ekspedycyjne strategie brytyjskie i amerykańskie.

Konflikt na Ukrainie zmienił sytuację na dwa sposoby: po pierwsze zwiększyło się prawdopodobieństwo klasycznego konfliktu pomiędzy państwami, co obaliło jedną z przesłanek z 2008 r. Po drugie, rosyjska strategia na Krymie pokazała, że ważne jest posiadanie stosunkowo licznych wojsk w różnych strategicznych punktach. Nie muszą przy tym to koniecznie być jednostki o dużej sile strategicznej. Sama ich obecność miałaby jednak za zadanie nie pozwolić na taktykę tworzenia faktów dokonanych.

Nauka jednak wyraźnie idzie w las. Nasze rezerwy nie zostały uzupełnione. Szkoli się ludzi, którzy ostatni kontakt z wojskiem mieli w najlepszym przypadku sześć lat temu. Nikt też nie policzył, ile dokładnie rezerw nam potrzeba, ani nie określił, jaki powinien być ich stopień gotowości bojowej. Narodowe Siły Rezerwowe miały być korpusem rezerwy podwyższonej gotowości. Ale nie są, bo nie zorganizowano ich jako jednostki bojowe czy też oddziały, które miałyby zabezpieczać obiekty strategiczne. Minister Siemoniak ogłosił za to, dość mgliście, że MON będzie współpracować z organizacjami paramilitarnymi. W rzeczywistości jednak ministerstwo nic w tym kierunku nie robi.

Fakty są więc takie, że w momencie, gdy pobór zawieszono, zignorowano to, jak będą tworzone rezerwy osobowe do nowego systemu. W efekcie, w obliczu nieuchronnego konfliktu, jedynym rozwiązaniem byłoby działanie w oparciu

o stare wzorce i zwyczajnie odwieszenie poboru powszechnego.

Pobór w Polsce naturalnie źle się kojarzy. Istotnie, stary model służby wojskowej był nieco anachroniczny. Szkolenie często było też źle zorganizowane, ludzie byli kierowani np. do szorowania garnków i tym podobnych bezsensownych prac.

Służba w wojsku nie musi być długa i nudna, o czym świadczy choćby przykład Finlandii. Tam przeszkolenie trwa zaledwie kilka miesięcy, a poborowi uczą się konkretnych rzeczy

Służba w wojsku nie musi być jednak długa i nudna. Świadczy o tym choćby przykład Finlandii. Tam przeszkolenie trwa zaledwie kilka miesięcy, a poborowi uczą się bardzo konkretnych rzeczy. Takie rozwiązanie byłoby także możliwe w przypadku Polski. Można by przecież stworzyć zupełnie inny system, oparty na innych ludziach. Należałoby wykorzystać przy tym rezerwistów z sił specjalnych, choćby GROM, którzy wprowadziliby nowatorskie sposoby szkolenia. Można by w efekcie stworzyć zupełnie nowy wzorzec i kulturę rezerwy.

Po tym, co Rosja zrobiła na Krymie, potrzeba przygotowania polskiej armii do obrony kraju jest oczywista. Niestety, naszym politykom nie pierwszy raz brakuje niezbędnej w takich sytuacjach odwagi.